

PROJEKTY

POMNIKÓW



Quovadisiana.

Na Obłym Wzgórku, szlacheckiej Golgocie,
Ukrzwżowany jubileuszami
Siedzi Miśrz Henryk S... i w czoła pocie
Koresponduje z Rusią, ministrami,
Dzierżąc prym między ugodo-endecki,
Prawdziwy polski minister bez teki.

Gdzież teka? Zgubił ją „Na polu chwały“,
Gdzież ministerstwo? W warszawskiej Ugodzie.
Zgasł talent wielki, został człowiek mały,
Co teraz powie — pisz kijem na wodzie!
Lecz że panuje mania grandiosa,
Przeto się koza wybiera do woza

Dzierżąc Trójedykt. Pierwszy do ministra,
Wtóry do młodzi, a trzeci do Rusi.
W pierwszym zawarta myśl lojalnie bystra,
Że o powstanie Polska się nie kusi,
W drugim, że młodzież powinna bezsprzecznie
W szkole rosyjskiej sięć cicho i grzecznie,

W trzecim, że bunty są niepolską rzeczą,
Naród jest korny, naród wielbi ciszę,
Że temu tylko biurokraci przeczą,
Lecz on, co Polskę lat pięćdziesiąt pisze,
Mówi, niech będzie mu dan miecz i tajstra,
Zostanie wzorem oberpolicmajstra.

Że byłby dawniej czynił to z zapalem,
Ale niestety na organizację
Rząd nie pozwolił. W społeczeństwie całem
Pod słowem każdy przyznaje mu rację,
A społeczeństwem po najdalsze wieki
Były i będą ugodo-endecki.

Z tym trójedyktem opuszcza swój Wzgórek
Obły. Noc chłodna a księżyc niejasny
Zieloną twarzą z poza wieńca chmurek
Wygląda, dmie wiatr, ale jakiś przasny,
Księżyc, niebieski zająwszy paradyz,
Zaśmiał się gorzko i krzyknął: „Quo vadis?“

Mistrz zadrzał, stanął, przeżegnał się, słucha,
Nie może pojąć, prawda li, czy mara,
Że mu powieścią ktoś wrzasnął do ucha,
Więc choć Petronjusz, szepnął: „Bóg ma wiara!“...
A że mu zimnym znojem przesiąkł potnik,
Krzyknął przezornie: „Niech żyje robotnik!“

Bo kto o swoją dziś truchleje skórę,
Zaraz w tę stronę odrzuca wiwaty,
A strach oblata nawet Oblą Górę
I różne nasze wielkie jubilaty.
Jubileusze, jak wszelkie wyraje,
Mijają, ale strach zawsze zostaje.

Wtedy w księżycu płaszczyźnie świetlistej
Jęło się kłębić, majaczyć, układać,
Już widna czapa i wąs zawieszisty,
I głowa która poczyna coś gadać—
Poznał Mistrz Henryk bez zbytecznej troski,
Że w tym księżycu drugi mistrz — Twardowski.

Ten śmiał się. Ręce splótł na grubym brzuchu
I śmiał się. Jeszcze śmieje się rubacha.
Przerwał na chwilę i w nowym wybuchu
Przez chmury śmiał się: „Cha, cha, cha, cha, cha, cha:“
Aż mistrz się nieco uraził, spowaźniał,
Spokaźniał, nawet, powiedzmy, zwyrażniał.

Ale napróżno stał śród pola błądy,
W twarzy anemja i w duszy anemja,
Bowiem od tego śmiechu kanonady
Trzęsło się niebo i trzęsła się ziemia,
Wreszcie rubacha chyląc się w przestwory,
Wąsa podkręcił i rzekł w ton perory:

„Salve, Salvator Henricus, vel primus
„Regni Poloniae senator! Eolska
„Harfo powieści! Naród targa przymus,
„Ale się pociesz, bowiem wdzięczna Polska
„Zapomni tobie wszelkie madrygaly,
„Listy, odezwy i Na Polu Chwały!

„I polityczne twe słowo honoru,
„Każdą twą radę, podpis w sprawie szkolnej,
„Korespondencję z Mirskim bez rankoru
„Rzuci do kosza i zachód mozolny
„Wedle ugody a zatem blamaże
„Wszelakie skreśli, skwituje, przemaże,

„Zapomni, wszystko zapomni po bosku;
„Potem, gdy życie twoje przetną Parki,
„Każę figurę twą ulepić z wosku,
„Obwozić w budach przez wszystkie jarmarki,
„Figurę, owe rynkowe niebiany,
„Ręce w dół sztywno, wiesz, wzrok z porcelany

„I czarny surdut pełen moli... Zato
„Żąda niewiele, mało, bardzo mało,
„Sądysz, wysiłków? Gdzie tam, macha na to!
„Pomysłów? Gdzie tam! Gdyby ci się chciało
„Tworzyć? Powieści nowych? Pal je lichy!
„Ona jednego tylko chce: siedź cicho!

„Ale tak cicho, żeby pies o tobie
„Nie szczeknął, żeby nie zabrękała mucha,
„Siedź w Oblęgorku, puszczaj młynka sobie,
„I choćby nie wiem jaka zawierucha
„Szalala, choćby wciąż kusilo lichy,
„Powtarzaj sobie raz wraz: Henryk, cicho!

„Choćby cię diabli brali, czy ugoda,
„Czyli endecja, czyli Spasowicze,
„Ruja, poróbstwo, Duma, Polska Młoda,
„Wybory, słuchaj, jak ci zdrowia życzę,
„Zrobiwszy krzyżyk nad wszelaką pychą,
„Jedno mów sobie ciągle: Mistrzu, cicho!

„Salve!“... W księżycu roztapia się blaskach.
Mistrz Henryk patrzy, słucha oniemiały,
Szukając ścieżki w darowanych piaskach,
Wraca, a wiatry świszczą mu hejnały,
Wstępuje w dworzec, staje nad kołychę,
Usiadł nareszcie... Czy usiedzi cicho?!

Andrzej Niemojewski.

Sylwetki.

„Proszę panów—mówi Nowodworski—wskazanem jest to, a nie jest wskazanem owo“.

Albo „atoli wskazanem jest i mniemałbym, proszę panów“—Stój! Nowodworski—stój!

Co jest [wskazanem, kto wskazał, dlaczego wskazał?

Wskazanem jest!

Ci ludzie z akt sądowych wyzarli obmierzły język protokółów i wyroków, i nie tylko „język“, ale zdolność mówienia o byle czem i byle gdzie, z poważną łatwością i z łatwą powagą.

Tam w sądach wszystko ucieka od wnętrza, od istoty rzeczy i każdy fakt, jako fakt indywidualizuje tak jakby je życie specjalnie na obstalunek sądu fabrykowało, i przeciwnie—człowiek—występuje jako dodatek do rzeczy i generalizuje się.

I kiedy Nowodworski mówi: „wskazanem jest“ „i mniemałbym“ to jemu się zdaje, że słowa te poczęte w niczem, w parthenogenetycznym nieskalaniu, same przez się będące czwórwymiernym głupstwem, które ukazują się nagle, jak duży palec stopy—z podartego buta,—posiadają duży urok i siłę. Dlatego też mówi: „mniemałbym“ zamiast „myślałbym“, bo i to słowo odbiega od życia, jak „wskazanem jest“ lub „atoli“—równobrzmiące z surową i odartą z ducha terminologią formularzy, w których każde słowo zdaje się dążyć do stworzenia pozorów, wprowadzenia w błąd i uwikłania prawdy w labirynt ciężkich, nic nie znaczących, ale niezmiernie kategoriycznych wyrazów i zwrotów, pozujących na siłę i bezwzględność.

Nowodworski się powtarza w nieskończoność. Jak wielu mówców zawodowych, może on mówić tak długo, pokąd się nie zmęczy. Jest zaś dla siebie bardzo wyrozumiały i cierpliwy. Wskazanem jest.

Wskazanem jest, że Nowodworski jest w każdym calu—i nerwie—starą biurokratyczną maszynką, ot taki sobie zegarowy mikrokosm, w którym jest wszystko, co jest w całej tak zniechęconej machinie, tylko w kieszonkowym układzie i pod kopertą N. D. 1906 r.

A zresztą—gdyby jutro dano autonomję i zamianowano by Nowodworskiego starostą lub jakimś marszałkiem, to należałoby go zwalczać wszelkimi siłami jako jedną z tysięcy czarnych a szkodliwych egzystencji biurokratycznych.

Dziś—biedny kraj—nieszczęsny kraj, a jutro byłoby przez starostę Nowodworskiego nakazane tłumić i rozpędzać bagnietami wszelkie objawy wolnej, demokratycznej myśli, podobnie jak to czynią w Galicji rodacy—starostowie, komisarze i t. p. Tako jest wskazanem.

Ale jeszcze bezwzględniej należałoby tępić psyche Kijeńskich. Bo Nowodworski przedstawia jednak pewną sumę wierzeń politycznych, bardzo nieszczęśliwych, bardzo ciasnych, ale mających swoją historję w walce o narodowy byt—o najbliższe jutro.—Jak niektórzy zatracają obraz człowieka w walce o byt własny, tak N.-D. wytraciła wszelki obraz polskiej myśli humanistycznej, której jest karykaturą i wrogiem. I stało się, co się nie tylko u nas, ale w całej Europie dzieje, że t. zw. rzeczy wielkie—przez ocieranie się o nie mieszczańnerji,—mieszczanieją—bo obłudna ideologja N.-D. jest niczem więcej, jak nacjonalizacją a więc i ide-

alizacją tego, co powinno być t. j. kapitalistycznego wyzysku.

Ale „Kijeński“... cóż Kijeński—to już takie przeraźliwe polityczne nic, taka kawerna w płucach ludu, taka błada chusta z ogromnym monogramem i koroną manjactwa, próżności, hrabio-grafo-manjactwa,—Kijeński van der Nooth czy van der Nooth Kijeński—to tyle co Rotwand, tylko bez milionów, ale ta sama kategoria i żądza obesłania swym nosem wszystkich kuchni politycznych, ta sama pycha małej politycznej figurki, co chciała by zostać matką, a którą dziecko rozepże, zaczem się jeszcze urodzi.

Piersz masz bowiem, Staszku, skrojoną na miarę Hersego, a ona nie zmieści i nie wyżywi myśli czasu.

Kijeński jest bezpartyjnym karierzystą. Tem gorzej dla niego—tem gorzej. Bo chce on być zawsze tym trzecim, co gdy dwaj się ścierają,—zanurzy ręce do misy z drogim kawiozem i będzie go jadł—„bez bulki“,—niby kaszę.

Ale to Ci się, Staszku, nie uda. Van der Noothy to dziś ruchomy kopiec robactwa. Imię im—śmierć i zapomnienie. I nie tobie będzie danem—dźwignąć i cisnąć w światy bryłę,—pieczętarczowi wyborczych szematów nie przystoi przykładać słabej rączki do rzeczy wielkich, ale się pokręć, pochodź dokola waszej roboty.

Co uczynisz, wicher zmiecie, ale się staraj, maleńki, staraj, dla was teraz pora, dla wice-ludzi, dla niedorodków. Historia potrzebuje woźnych.

I dalej falcetem płci niewiadomej zwoluj wyborców. Cha-cha, niema ludzi, więc może by tak na posła...—Kijeńskiego? Bo on jest i tu, i owdzie, i wszędy. Coś w tem musi być... Persona znaczna, wszystkim się udziela... To starczy dziś za program—wybrać? ale kogo? Masz szansę, Staszku,—masz.

I mów jak zawsze: „aliści“ zamiast „ale“,—„jeno“ miast „tylko“—„mowca“—zamiast „mówca“ a pod nieobecność Nowodworskiego—i „wskazaniem jest“ i „mniemałbym“,—tak osiągniesz, mowco, dwa cele: krwistą tężyznę języka wojów i „władany“ czasów Bolesława Śmiałego i pierwszego van der Knota, ach, i krzesło, krzesło w Dumie.

Oto jak Historia dba o świetność wygasłego rodu. Po purpurze ludu Kijeńscy wchodzą do parlamentu. Ty mowco, mowco!

Gzepiec.



GLOSSY

(myśli p. Henryka Sienkiewicza.)

Powiedz głodnemu, że jest polakiem, a wnet się nasyci i zmówi pacierz.

* * *

W Polsce nie było nigdy, jako w innych krajach, gnębicieli i gnębionych,—jeno byli polacy gnębiący i—polacy gnębeni,—co nie jest to samo.

* * *

Lud nasz żył zawsze z polskości; narody inne, a zwłaszcza—niekatolickie, żywiły się mięsem, jako bestje.

* * *

Henryk Sienkiewicz pisał— a prasa szczerze polska kontrsygnowała na początku XX wieku co następuje:

wszystko przeminie i nawet chwała sienkiewiczowska przeminie, ale ślady świętopietrza na Watykańskim stolcu ostaną się in saecula saeculorum. Amen.

* * *

Szczęście narodu jest szczęściem — artysty, szczęście artysty jest szczęściem narodu, ale Wielka Nagroda Nobla, którą otrzymał Henryk Sienkiewicz, stanowi wyłączną własność Henryka Sienkiewicza, albowiem pieniądź „nie daje szczęścia“.

* * *

Miałem wielki jubileusz, całowałem wielkiego Papieża w wielki palec u nogi, otrzymałem wielką nagrodę Nobla,—wszystko, co było wielkiem, stało się mojem, ale to co było mojem nie było nigdy wielkiem.

* * *

Socjaliści — (myślał Wiktor Gomulicki) — wynaleźli na szkodę Polski — pojęcie głodu — nie polskie, nie narodowe, destrukcyjne, niszczyielskie, burzycielskie, nie zaś marzycielskie. Nie znają oni naszego kmiotka. Powiedz kmiotkowi w białej sukmanie i konfederatce, że jest polakiem, a chociażby nie miał co do gęby włożyć — wnet na kolana padnie i zmówi pacierz.

Avanti.

POSEŁ PRASZALNY.

Kto posłować ma z Warszawy?
Kto przodownik Polski prawy?
Ani kupcy, ni żydowie,
Ani mieszczan też synowie,
Ani z wieków ciemny lud,
Ale ordynacki ród!

Pradziadowski mundur zwłócz,
Niech go wdzieje, choć przestronny,
Szambelański podaj klucz,
On pan wielki, on pokłonny,
On pokorą błysnie z lic
I nie będzie żądał nic!

Jakieś sejmy, autonomje,
W fantastycznych snów ogromie
Demagogja marzy stara —
Bóg i katolicka wiara,
Papież, szkaplerz, glejt do nieba,
Oto, co dziś Polsce trzeba!

Gdy lud hardy naraz śmie
Jakichś praw domagać się,
By obierał, by był syt,
Kiedy chłop, gdy nawet żyd
Mruczy głucho, szczerząc kły:
I ja człowiek jak i ty — —

Musi nasz poselski pan
Ugiąć plecy swe przez pól,
Skromnie oczy spuścić w dół
I ukłonów począć tan,
I przeprosić najpokorniej,
Ze jesteśmy tak niesforni!

A kto z dziada prapradziada
Zna tak petersburski szlak?
Czyjże ród się kajał tak?
Kto od dziecka na twarz pada?
Kto ma w krwi tę cnotę cnót?
Tylko szambelański ród!

On nad ludu błędną marą
Wznowi dziada piosnkę starą:
Hajdamackie rzućcie płachty,
Lud nie naje się bez szlachty,
Ale szlachta, macierz cudu,
Umie swoje zjeść bez ludu!

Więc nie kupcy, nie żydowie,
Ani mieszczan też synowie,
Ani jakiś z ludu ptak
W petersburski pomknie szlak,
Rzecznik Polski na sejm walny,
Lecz ordynat, pan praszalny!

St. Mikiewicz.



Paranoia Polifica.

Wahadło naszej psychiki wykonało całkowity swój ruch, dwie pełne amplitudy, przebyło drogę od najskrajniejszej prawicy do najskrajniejszej lewicy, od M' przez pion do M'', od bezwzględnego ubóstwienia jednostki, wyniesionej niebotycznie nad zbiorowisko, do bezwzględnego ubóstwienia zbiorowiska, wyniesionego niebotycznie nad jednostkę, od pseudo—genjalnej indywidualności z tytułem pompatycznym „magus, ipse deus, philosophus et omnia“, do pseudo-genjalnego zbiorowiska, które rozstrzygnie nieomylnie wszystkie zagadnienia bytu gromadzkiego i zdejmie z barek jednostki cały ciężar jej zadań. Po bałwochwalczej arystokracji ducha z przed kilku lat, której grandilokwencji jeszcze brzmia nam w uszach, przyszło bałwochwalcstwo ochłokratyczne a nawet pajdokratyczne z niemniejszymi grandilokwencjami. W obu momentach psychicznych, boć to nie sprawy obiektywnie branej rzeczywistości, ale tylko sprawy całego subiektywizmu psychiki, tego cudu skrajności dokonał agitator i to nie agitator w wielkim stylu, ale w małym stylu.

Kiedy zbiorowisko nie miało głosu, a przypadek sprawił, że się właśnie w Polsce pojawiły talenty niepospolite, małego kalibru agitator, komiwojażer indywidualności, grzejąc się przy źródłiskach estetycznego ciepła i zalecając towar nie przez siebie wyprodukowany, stworzył ad hoc całą filozofję o wielkości indywiduum a marności tłumu. Kiedy zaś talenty niezależnie od jego teorii tworzące nie przymilkły, ale przygłuszone zostały rewolucyjną surmą bojową i kiedy rzeczywiście na plan pierwszy wysunęło się zbiorowisko ze swemi krzyczącymi krzywdami, komiwojażer indywidualności w lot przedzierzgnął się w komiwojażera ludu, który teraz z kolei otrzymał miano „magus, ipse deus, philosophus et omnia“. Że jest to tylko kwestją psychiki a nie ludu, niewinnego onej grandilokwencji, temu tak nikt nie zaprzeczy, jak swego czasu uważał za kwestję psychiki grandilokwencję na temat talentów naszych, równie niewinnych tego, co o nich gadano. Jeszcze przecież pamiętamy wszyscy owe dytyramby na cześć jednostki, przyrównywano geniusze do słońc i urągano tłumom, że zmarniałyby w wiecznych ciemnościach, gdyby nie blaski tych niebieskoludzkich ciał! Ale wahadło z szybkością rewolucyjną przebiegło od M' do M''. I oto na wiecu nauczycielskim słyszymy: na nic tu wasze narady nad najlepszą szkołą, pytanie to może rozstrzygnąć tylko jeden proletarij! Komiwojażer spraw proletariackich nie zastanawiał się naturalnie nad tem, że może miał przed sobą ludzi, głębiej od niego

przenikniętych ideą demokratyzacji szkoły, że ludzie ci, których psychika umiała znaleźć punkt równowagi M i nie koleba się z wiatrem mody od M' do M'', może doskonale zrozumieli swoje indywidualne zadanie wobec zbiorowości, że zajmują się właściwie tylko sformulowaniem pedagogicznym odnośnych potrzeb proletariatu, a jeżeli doba to przedświtowa, to gotują się do chwili świtu. Nie, on się nad tem nie zastanawiał, gdyż w stanie psychicznym, w jakim się znajduje, wogóle zastanawiać się nie może. A jeżeli była to PARANOIA POETICA, która zrodziła wiersz: „Byles mi kiedyś bożyszczem, o tłumie, wszystko pochłonął twój żołądek wraży“, to obecnie PARANOIA POLITICA niejako transponuje ten wiersz na chwilę obecną, mówiąc niemal dosłownie: „Jesteś mi znowu bożyszczem o tłumie, niech wszystko chłonie twój żołądek wraży“. Sugestje polityczne odgrywają wogóle wielką rolę. Bezmyślność, z którą klękano przed geniuszami, równa się bezmyślności, z którą dziś różne nieszczęśliwe medja klękają przed zbiorowiskiem. Że z ochłokracją przyjść musiała pajdokracja, to się tłumaczy sugestją, jaka na wrażliwe medja poszła od młodzieży, umiejacej wystąpić o reformę szkoły. A tak jak „ochlos“ nie odpowiada za grandilokwencję do niego stosowaną, tak samo nie odpowiada za nią „pais“. Czytaliśmy świeżo rzuconą myśl udziału młodzieży ni mniej ni więcej tylko w radach pedagogicznych, do czego niezawodnie młodzież sama najmniejszej nie rości pretensji. Fachowcy szczerze demokratycznego kalibru dali już na to odpowiedź. Ale żądanie takie jest wielce znamienne dla chwili dziejowej i stanu naszej psychiki. Tak, powiedziałby Krafft-Ebbing, PARANOIA POLITICA, młodzież jako klasa przez wieki emancypująca się; a gdyby się odpowiednio ułożyły stosunki, zbuntowałyby się szpitale i domaganoby się udziału chorych w konsyliach lekarskich, w stawianiu ddiagnozy i pisaniu recept. Że lekarz porozumiewa się z chorym, że pedagog z uczniem wejść musi w stosunek wzajemnej wymiany myśli, temu nikt nie przeczy, a że szkoła wymaga gruntownej reformy, o to wszyscy wielkim głosem wołają. Ale bynajmniej nie jest konieczne wahnienie całej naszej psychiki w tej sprawie od M' do M'' a rozdrażnienie, grandilokwencja, ostre słowa, jakie przy tej sposobności padają, dowodzą wyraźnie, że mamy do czynienia nie z zagadnieniem pedagogicznym, ale z zagadnieniem czysto psychiatrycznym. PARANOIA POLITICA. Jeszcze jedno podobieństwo pomiędzy stanem psychiki w punkcie M' a M''. Komiwojażerowie arystokracji ducha nic nie czytali, tłumacząc się, że nie chcą obcymi wpływami zanieczyszczać swego

„ja“. Wrzenie rewolucyjne, jakie ogarnęło bądź co bądź pół Europy i pół Azji, a pod względem zaludnienia niemal 1/10 część całej ludzkości, musiało umyślnie wytrącić z punktu M. Słyszymy co chwilę zdanie: nie mogę nic czytać, prócz dzienników! Jedni panują psychicznie nad chwilą i ci czytają, muszą ostrzyć swój umysł, muszą nawet w danej chwili czytać więcej, bo wymaga tego ich wzmożona działalność myślowa. Nad innymi chwila panuje i ci nie czytają, myśl ich jest jak łódź o złamanym sterze, a wiatr pędzi ją z fali na falę. Pierwszych poznamy po konsekwentnym postępowaniu, drugich po ciągłym płątaniu się w sprzecznościach. W ciągu jednego roku zmieniają się tak, że nie mogą ich poznać własni przyjaciele. Jest to PARANOIA POLITICA. Przebieg jej bywa rozmaity, a furja nie jest wykluczona... Że to niema nic wspólnego z ideałami czy proletariatu, czy pedagogii, o tem chyba nikogo przekonywać nie potrzebuję. To tylko dodam, że tak jak w czasach panowania arystokracji ducha ludzie prawdziwie społecznej myśli nieustannie przypominali ogół i jego potrzeby, tak znowu w czasach panowania ochłokracji i pajdokracji ci sami ludzie uważają sobie za obowiązek przypomnieć, że wszelka rewolucja społeczna w ostatecznych wynikach swoich do tego dąży, aby wyzwolić jednostkę i aby ta jednostka z należytym pożytkiem dla ogółu pracować mogła. Nigdy też może w polu naszego widzenia nie pojawiło się tyle dzielnych jednostek, jak w chwili obecnej; tłumy wyniosły je na swych barkach. Ale tłumy nie odpowiadają za to, co się mówi ich imieniem i nieraz tak niesłusznie ich imieniem.

Lambro.

Zwycięzcom — cześć!

Mandaty poselskie od nas słusznie należą się Narodowej Demokracji, albowiem ten jest w życiu najbardziej zasłużony, kto jest najsilniejszy i kto najwięcej cierpiał, a siła i cierpienia Narodowej Demokracji są nieskończone.

Ona, gdy burzliwe „żywioly skrajne“ krwawiły kraj, siedziała z założonemi rękami i marząc o przeszłości ronila łzy nad dniem dzisiejszym. A czy wiecie, co to jest siedzieć bezczynnie, gdy inni pracują i walczą? Ile na to potrzeba bohaterskiej siły woli, ile skupienia, jakich trujących środków nasennych, ile równowagi ducha ile „sitzfleischu“? O — kto tego nie przeżył, ten nie ma prawa zasiąść w poselskim fotelu!

Ona pierwsza (i jedyna) gdy z oparów krwi robotniczej zaczęła przebłyskiwać jutrzeńka, ona jedyna wydała okrzyk: „Jeszcze Polska nie zgi-

nęła“ i urządziła tańce radosne na świeżych bratnich mogiłach. A czy wiecie, co to jest tańczyć na grobach, gdy inni pracują i walczą? Ile na to potrzeba niezłomnej pogody ducha, ile słońca w sercu, jak spokojnego sumienia, jakich głów kamiennie-niezawrotnych i jak bajecznie wyczętych łydek? O — kto tego nie przeżył, ten nie ma prawa krążyć lekko w kuluarach Dumy!

Ona jedna, gdy władze dały ostre napomnienie pierwszej komisji wyborczej, ona jedna w pokorze to przyjęła, prześliznęła się przez najcięższe przejścia, a obelgi schowała do kieszeni. A czy wiecie co to jest być pokornym i ślizkim jak węgorz, gdy inni pracują i walczą? Ile na to potrzeba wiary prawdziwie chrześcijańskiej, jakiej świętej skromności, ile mydła tłustego i jak głębokich kieszeni? O — kto tego nie przeżył, ten nie ma prawa stanąć na trybunie Dumy!

Ona jedna, gdy rozkazy stanu wojennego obcinały codziennie „święte“ prawa wyborcze, ona jedna nie odwróciła twarzy i bez szemrania wszystkim się poddawała. A czy wiecie co to jest ślinę wrażliwą połykać i być gwałconym, gdy inni pracują i walczą? Ile na to potrzeba zaparcia się obywatelskiego, jakiego poczucia obowiązków, jak strusiego żołądka i głodu staropanieńskiego? O — kto tego nie przeżył, ten nie ma prawa dumnie dumać o dumie narodowej w Dumie!

Ona jedna, gdy zapełniały się i przepępniały więzienia i cytadele, ona jedna mordowała ludzi na zebraniach i na ulicach za to, że śmieli chcieć mówić wbrew ich poglądom. A czy wiecie, co to jest ważyć się na zbrodnie i na bratobójstwo, gdy inni pracują i walczą? Jakich na to trzeba hasel nadludzkich, jakich piersi Króla-Ducha, jakiego poświęcenia dla dobra narodu? O — kto tego nie przeżył, ten nie ma prawa mężnie przemawiać w Dumie w obronie swobód jednostki i społeczeństwa!

Ona jedna w „gorącym“ dniu wyborów nie cofnęła się przed szczuciem na żydów i oszustwem, ażeby od najścia żydowskiego „ocalić honor Polski i Warszawy“. A czy wiecie co to jest poniżyć się do psa i lisa, gdy inni pracują i walczą! Ile na to potrzeba siły politycznej Bismarkowskiej, jakich talentów chuligańskich, jak wzruszająco-naiwnej wiary w swoje człowieczeństwo i w wieczne królestwo ciemnoty? O — kto tego nie przeżył, ten nie ma prawa zapalem swym i prawością dorzucać światła do ogniska Dumy!

Niech więc pobłogosławi kraj swych pierwszych posłów na nową, dalszą i krwawszą jeszcze drogę cierniową, niechże im złoży na barki brzemie swoje na obfitym pożegnalnym bankiecie, który oby im słodki był i lekko-strawny!

St. Pietkowski.

Z poezyj XVI wieku.

O dziwach wszelakich, a zgoła na ziemi tej niewidziaonych.

Jestli użrzesz pokornym człeka wżdy małego
 Y mądrym opasłego, prawym bogatego,
 Szepiołkę niezdradnego, niepsotnych kudłaczy;
 Młynarza, któren miary zbyt chytrze nie baczy;
 Jestli użrzesz szafarza, któren nie przylicza;
 Owo juści młodzianka gładkiego oblicza,
 Któren jest bromięzliwy, białogłów nie łasy;
 Y starca, co nie mlaska, zwąchawszy frykasy;
 Sowizrala smutnego, prawdomówcę kupca,
 Przekupkę nieswarliwą, milczącego głupca;
 Chudego y biednego jestli użrzesz klechę;
 Skarbnika, co grosz skarbu nie znasza pod wiechę,
 Y dziada niewszawego, niezdradliwą żonę,
 Y pannę niełakomą na duby smalone;
 Magnata, co się krząta pro publico bono,
 Palestranta nie krętą słynnego obroną,
 Y zacnych obyczajów, a sytego człeka;
 Toż psa, co ze swej budy na księżyc nie szczeka;
 Y kota, któren w marcu nie miauczy tęskliwie,
 Toż poetę wielkiego, co w dostatkach żywie,
 Polityka, co wzgardził machiawelską sztuką,
 Ano kruka, co wyklął oczy innym krukom;
 Jestli użrzesz szlagona, któren pańskich zadków
 Nie całował, by dostać urzędów, dostatków...
 Sam tu dawaj te dziwa! A spiję ich zdrowie
 Całą beczką — y w rymiech ich żywot wystowię.

a.

Przykazania.

- I. Bogów cudzych nie będziesz miał nigdy prze-
[demną:
Jest ich tyle na ziemi, że dość jeden w niebie.
- II. I nie wzywaj imienia mego nadaremno,
Bo się to na nic nie zda w prawdziwej potrzebie.
- III. Pamiętaj, byś dzień święty święcił najpobo-
[źniej] —
Na biby tradycyjne nie żałuj kieszeni.
- IV. Czciuj ojca, takż matkę, jeżeli zamożni;
Wspomagać, jeśli biedni — opinja to ceni.
- V. Nie zabijaj, bo rzecz to karana i zdrożna,
Dopókiś nie okryty żołnierską odzieżą.
- VI. Nie kradnij, gdy się prawem zasłonić nie
[można;
Niech lepiej w twą uczciwość wszyscy święcie
[wierzą.
- VII. Nie cudzołóż... otwarcie! życiu spokojnemu
To szkodzi, a co główne — twą kieszeń wy-
[suszy.
- VIII. Nie świadcz nigdy fałszywie przeciwko bli-
[źniemu,
Na którym ci zależy: ściany mają uszy.
- IX. Żony twego bliźniego*) nie pożądaj zgoła;
Masz tyle biednych dziewczyn — to łatwiej
[przychodzi.
- X. Nie pożądaj też jego osła, ani woła,
Bo gdy kupisz — oszuka, weźmiesz — powie:
[złodziej.

Benedykt Hertz

*) Bliźni — znaczy dobry znajomy, a przynajmniej czło-
wiek z tej samej sfery.

Warunki prenumeraty

w Warszawie:		na prowincji z przesyłką:	
Rocznie	Rub. 7.—	Rocznie	Rub. 8.60
Półrocznie	„ 3.50	Półrocznie	„ 4.30
Kwartalnie	„ 1.75	Kwartalnie	„ 2.15

Adres Redakcji: Ciepła 17. — Telefon 18421 ☎ Adres Administracji Elektoralna 31. — Telefon 3348.

TREŚĆ: *Andrzej Niemojewski* Quocvadisiana.-*Czepiec* Sylwetki.-*Avanti* Glossy.-*St. Mikiewicz* Poset Praszalny.-*Lambro* Paranoia Politica.-*St. Pięnkowski* Zwycięzcom - cześć!
B. Hertz Przykazania. - Z poezji XVI wieku.